

O skutecznym prawa w sposobie

Szary dom, tabliczka przy drzwiach: „dr Marian Zimmermann, prof. Uniw.”. Mam nieco tremy, przecież to mój profesor, dziekan z lat studenckich.

— No i zmieniły się role — mówi z uśmiechem. — Dziś pan pyta, a ja odpowiadam.

Rozpoczynamy rozmowę od wrażeń z listopadowego międzynarodowego seminarium na temat zapewnienia praworządności działania administracji, które odbyło się w Moskwie i w którym prof. Zimmermann uczestniczył. Jednakże, choć wrażenia są bardzo interesujące, zapytuję o uwagi na temat sytuacji w tej dziedzinie w Polsce. Bo przecież wybory za pasem, będziemy mieli nowe rady i chcielibyśmy wszyscy wiedzieć, jak to było z tą legalnością ich działania dotąd i jak będzie w przyszłości.

— Zapewnienie praworządności — mówi profesor — jest zadaniem bardzo złożonym. Jego spełnienie wymaga jasnego i uporządkowanego ustawodawstwa, wymaga zgodności przepisów prawnych wydawanych przez Radę Ministrów, ministrów, przez rady narodowe i inne organy z ustawodawstwem. Wymaga ono również znajomości prawa i umiejętności jego stosowania, no i stosowania go w ogóle, przez cały aparat administracyjny oraz odpowiedniej i skutecznej kontroli tego aparatu. Wymaga wreszcie dobrej woli i współdziałania samych obywateli, i to nie tylko gdy chodzi o obronę ich praw, udziału w organach kontroli społecznej, ale przede wszystkim w przestrzeganiu prawa i spełnianiu swych obowiązków przez nich samych.

— Zdaje się, że dotychczas realizacja tych praw nie wyglądała najlepiej...

— No cóż, rzeczywistość w warunkach społecznych i prawnych nigdy nie pokrywa się w zupełności ze stanem idealnym. Nie byłoby to zresztą nawet właściwe. Po pierwsze — taki idealny stan mógłby się okazać w praktyce znacznie mniej idealny, niż to wygląda na papierku. Po drugie zaś życie idzie naprzód i wciąż wymaga nowych rozwiązań. Niemniej, gdy chodzi o praworządność, jest u nas bardzo dużo do zrobienia.

A z tego co jest do zrobienia, co Pan Profesor uważa za najważniejsze?

— Sądzę, że nasze ustawodawstwo wymaga pilnie gruntownego uporządkowania. Dotyczy to przede wszystkim prawa administracyjnego. W tej dziedzinie obowiązują szereg starych ustaw, zupełnie nie dostosowanych do naszych obecnych warunków. Doprowadza to do tego, że przepisy ustaw stają się martwe, a administracja kieruje się za pomocą rozporządzeń, instrukcji i wytycznych, nieskoordynowanych i nierzadko sprzecznych nie tylko z ustawą, ale i z sobą. Wystarczy tu wymienić takie działy, jak prawo przemysłowe, prawo o postępowaniu administracyjnym, prawo urzędnicze, budowlane, wodne, prawo o zarządkach przymusowych. Uporządkowanie tego nie jest zadaniem łatwym, ale koniecznym. Sejm wszedł już zresztą na tę drogę. Potrzeba wreszcie gruntownej reformy metod kontroli administracji. Pierwszym krokiem jest tutaj ustawa o powołaniu Najwyższej Izby Kontroli.

— A więc dotychczasowe formy kontroli nie zdały egzaminu. Jak Pan Profesor sądzi, dlaczego?

— Kontrola społeczna, jaką miały dać skargi i zażalenia, nie przyniosła, jak wiadomo, rezultatów. Sądzę, że zadecydowały tu zarówno braki w jej ukształtowaniu jak i niedojrzałość społeczeństwa, któ-

re pojęło ją często tylko jako formę szukania najskuteczniejszych dróg wywierania presji na organy administracyjne. Dlatego nie zawsze ten wygrywał, kto miał słuszość. Natomiast kontrola społeczna rad narodowych musiała się ograniczyć z natury rzeczy do kontroli wykonywanej za pośrednictwem komisji rad. Ale te komisje stawały się często po prostu organami prezydium rad, tych właśnie prezydium, które miały kontrolować. Nadzór prokuratorski również nie spełnił roli w dziedzinie kontroli nad administracją. Jego kompetencja nie obejmowała organów naczelnych (ministerstw). Po wtóre zaś prokuratura nie ma prawa uchylania decyzji administracyjnych i nie może go mieć, gdyż wtedy musiałaby zamienić się w sui generis sąd i dostosować swoją organizację do przeprowadzania rozpraw. Ma zaś i tak dość kłopotów z wykonywaniem swojej głównej roli, to znaczy ściganiem przestępstw. Brak natomiast u nas — wyjąwszy Trybunały Ubezpieczeń Społecznych — kontroli sądowo-administracyjnej. W ZSRR i większości krajów demokracji ludowej istnieje kontrola prokuratorska w pełnym zakresie oraz kontrola sądów powszechnych nad niektórymi rodzajami aktów administracyjnych. Ta ostatnia forma kontroli (jak na przykład w sprawie odszkodowań za wywłaszczenia) została u nas w ciągu ostatnich lat odebrana sądom.

— Czyli, że jasno jak słońce nasuwa się potrzeba wprowadzenia sądownictwa administracyjnego. Chyba ono usunęłoby te braki?

— Uważam, że wprowadzenie sądownictwa administracyjnego w znacznym stopniu zapobiegłoby tym wypadkom naruszania praworządności przez administrację, które są wynikiem złej woli, ale nie usunie tych, które płyną z braku fachowości organów administracyjnych. Wiadomo na przykład, że ilość prawników w prezydiach rad jest bardzo mała. Po wtóre — co jest może jeszcze ważniejsze — powinno w znacznym stopniu usunąć naruszenia prawa w rozporządzeniach i instrukcjach naczelnych organów administracji. W razie bowiem

oparcia decyzji na nielegalnym przepisie sąd administracyjny ma taką decyzję uchylić i zwrócić się do prezesa Rady Ministrów o spowodowanie zmiany nielegalnego przepisu ogólnego, który stanowił podstawę decyzji. Samo sądownictwo administracyjne jednak nie wystarczy. Musi równocześnie nastąpić wprowadzenie do organów rad narodowych odpowiedniej ilości fachowców i podniesienie zawodowych kwalifikacji części pracowników. Chciałbym tu podkreślić, że pierwszą w Polsce poważną próbą w tej dziedzinie podjęło Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu, organizując przy współpracy Wydziału Prawa UAM roczne kursy prawnicze dla pracowników - praktyków rad narodowych. Poza tym winna nastąpić nowelizacja przepisów o postępowaniu administracyjnym i o skargach i zażaleniach. Trzeba by też zmienić charakter roli prokuratora przez przyznanie mu prawa wnoszenia skarg do sądów administracyjnych w razie na przykład zapadnięcia drogą kumoterstwa decyzji nielegalnej na korzyść strony.

— Zdaje się, że Pan Profesor jest głównym referentem projektu ustawy o sądach administracyjnych w Komisji Kodyfikacyjnej. Jak ta sprawa aktualnie wygląda?

— Tak, wspólnie z kolegą profesorem Litwinem z Łodzi opracowałem projekt, który został przyjęty przez Wydział Komisji Kodyfikacyjnej. Projekt ten ma być w kilku najbliższych tygodniach ogłoszony drukiem i poddany dyskusji publicznej.

— Jak Pan Profesor jednak zauważył, wszystko w końcu zależy od ludzi...

— Tak jest. Dopóki społeczeństwo nie nauczy się solidarności, zdyscyplinowania, jakichś zasad współżycia, życzliwości i pomocy wzajemnej, póki znaczna część społeczeństwa nie odczuje się pijaństwa i chuligaństwa i nie nauczy się szanować wspólnego dobra i wspólnego interesu — szczególnie konieczna jest sprężysta, sprawliwa i wychowująca administracja. Aby zaś mogła być taką rzeczywistością, trzeba jej zapewnić pracowników na odpowiednim poziomie płac, trzeba też zapewnić wszechstronną i bezstronną kontrolę.

Rozmawiał:

Mieczysław SKĄPSKI

Potrzebna osoba do oplakiwania starców, którzy w przytulakach umierają. Proszę kandydować bez metryk i pisemnych zgłoszeń. Papiery będą darte bez pokwitowania.

(Witawa Szymborska)

Więc czy takie wiersze, czy też westchnienia do księżycy i bełkot rozhisteryzowanych pięknoduchów współczesnych pozorami cynizmu?

*

Na pewnym wieczorze autorskim bliżej mi nieznanymi młodymi poetami, podczas dyskusji nad co dopiero usłyszany wierszem, jakiś elokwentny pan z właściwą sobie (tak mi się przynajmniej wydawało) znajomością rzeczy powiedział: „Charles Baudelaire, Lautrémont, Saint — Pol — Roux (tu pauza, po czym — tak, on), Francis Jammes, Paul Claudel (silnym głosem — ten szczególnie), Georges Duhamel, Guillaume Apollinaire (oczywiście), Philippe Soupault (może mniej), Jean Cocteau (przed wszystkim), no i ewentualnie Paul Eluard (z okresu wcześniejszego: Le devoir et l'inquiétude) — to jest to, na czym trzeba wyłącznie się uczyć. A więc zaniedbana sprawa szkoły poetyckiej — skąd tak częste u młodych epigonstwo”. Tu skończył w oklaskach. Oczywiście, nie mam nic przeciw na-

uce i sugerowanym nazwiskom, choć ich zestaw pomieszczenie tychże szkół oznacza, ale zastanawiam się, czy takie propozycje „eupeizowania”, to dla młodych rzecz pożyteczna, czy też nie. Gdy tak rozmyślałem, podsunęto mi przed oczy kilka czytanych na wieczorze wierszy. Przeczytałem raz jeszcze. Więc jednak chyba nie. Poezja francuska nie może być dla nas żadnym świę-

Marian Grzeszczak

OKOLICE POEZJI

(Zapiski z brulionu)

tym wzorem, bo kształtowała się w odmiennych warunkach i w niezmiennych formach przeniesiona do nas, nie daje się przystosować do naszych doświadczeń. Tak zresztą w każdym innym przypadku. Stara to wszakże prawda, że athenizmów należy unikać. Nie należy przecież w trakcie uczenia się alfabetu pomijać pierwsze litery i powiedzieć od „P” — uczyć się tego alfabetu dalej.

*

„Poeta nie jest świadomy tego, do czego pisze” — powiadają niektórzy. „Ten



ZIMA...

CAF — Fot. Werner

Sofia Casanova

Na szczycie

Wiersz z tomu „El canzonero de la dicha” wybitnej poetki hiszpańskiej, która niedawno zmarła w Poznaniu.

Już na szczęście nie mam
Od niczego uciekać i czego gonić.
Życie dało mi wszystko,
Czego pragnąć mogłam.
I wiele niepragnionego.
Hojne niebo mi dało;
Ból, który ze się zmienia
Zawsze jest nowym bólem;
Miłość, która ze jest moją,
Nigdy moją nie będzie;
Królestwo, dalekie królestwo,
Którego nie chcę posiadać.

Za późno, żeby królewskimi
Wieńczyć siebie kolcami.
Wystarczają mi żywopłoty
Chroniące wszystkiego co moje.
Wystarczają mi wszystkie dobra,
Co wypełniają me serce
Jak fala — usta topielca.
Już na szczęście od niczego nie uciekam
I za niczym nie gonię.
Wiem, że wiara nas zbawia
I że nie warto bez celu
Płakać i kochać.

W swoim życiu chcę być czymś subtelnym i pokornym,
Co by nie dotykało twego ciała i nie niepokoiło duszy.
Woda, jeśli jej w dniach pragnienia szukasz,
Woda, co się pije i co się zapomina,
Co się zapomina i co się kocha.

Wszelki konkretny kształt ludzki jest torturą,
Wszelki realny kształt miłości jest zmiennością.
Ja chcę być ziemią, co kwiatami nam oddaje
Ból, który jej zadajemy okrutnie ją depcząc.

Spolszczył:

Marian Grzeszczak

Maksym Gorki

Zachwycała mnie w nim
zawsze ostro wyrażona
wola życia i aktywna niena-
wiść do tego, co w życiu jest
niegodziwe, nieczyste; z upo-
dobaniem obserwowałem mło-
dzieńczy zapal, jakim prze-
pajał wszystko co czynił.

... W twarzy, w mongolskich
rysach, płonęły, skrzyły się
przenikliwe oczy niezmordo-
wanego bojownika przeciw za-
klamaniu i niedoli życia; pło-
nęły, porozumiewawczo mru-
gając, ironicznie uśmiechając
się, palając gniewem.

... Niezwykły i dziwny był wi-
dok Lenina spacerującego po
parku w Gorkach — do ta-
kiego stopnia zrosło się z je-
go postacią pojęcie człowie-
ka, który siedząc na końcu
długiego stołu, uśmiechając
się, rozbylskując przenikli-
wym wzrokiem sternika, umie

ZE WSPOMNIEN

jętnie, zręcznie kieruje dys-
kusją towarzyszy, albo też
stojąc na trybunie z pod-
niesioną głową ciska sło-
wa dobitne i jasne w
przyczynach tłum.

... Hazard był swoistą wła-
ściwością jego natury, lecz
nie był to pełen zachłannej
chciwości hazard gracza; u
Lenina kryła się za nim wy-
jątkowa tężyzna ducha, która
cechuje człowieka niezłomnie
wierzącego w swoje powoła-
nie, człowieka, który wszech-
stronnie i głęboko odczuwa
swą więź ze światem i w peł-
ni pojmuje swoją rolę w chaosie
świata — rolę wroga chaosu.
Z tym samym zapalem po-
trafił on grać w szachy, prze-
glądać „Historię ubiorów”, go-
dzinami dyskutować z towa-
rzyszem, łowić ryby, spacero-
wać po kamiennych ścież-
kach Capri rozpalonych słoń-
cem południa, zachwycać się
złocistymi kwiatami janelowa
i smagolicią dzieciarnią ryba-
ków. A wieczorem, słuchając
opowiadań o Rosji, o wsi, za-
zdrosnie wdychał:

— A przecież za mało znam
Rosję. Sybirak, Kazań, Pe-
tersburg, zestanie — i to pra-
wie wszystko!

... Miał wielkie poczucie hu-
moru i gdy śmiał się, czynił
to całym sobą, dosłownie za-
nosił się od śmiechu, czasem
aż do łez. Krótkiemu, cha-
rakterystycznemu dźwiękowi
„hm — hm” potrafił nadawać
nieskończoną skalę odcieni —
od zjadliwej ironii aż do
ostrożnego powątpiewania —
i często w owym „hm — hm”
dźwięczał subtelny humor, do-
stępny człowiekowi niezwykle
przenikliwemu, znającemu na
wylot szatańskie niedorzeczno-
ści życia.

... Krepy, przysadzisty, o
czaszek Sokratesa i wszystko
widzących oczach, Lenin nie-
rzadko przyjmował dziwną i
trochę komiczną pozę: głowę
zarzucał do tyłu i przechyla-
jąc jednocześnie na ramię,
kciuki zaś zasuwał gdzieś pod
pachy, za kamizelkę. W pozie
tej było coś zadziwiająco mi-
łego i komicznego, coś jakby
zwyckiego-koguciego, w ta-
kich momentach Lenin cały ja-
śniał radością — wielkie dzie-
ko tego potępionego świata,
wspinały człowieka...

(Ciąg dalszy na str. 2)

Pablo Picasso pracuje od pewnego czasu nad 40 freskami, które ozdobią gmach UNESCO w Paryżu.

Igor Strawiński kończy swoją nową kompozycję „Treny” do słów proroka Jeremiasza. Kompozycja obejmuje chór 80-głosowy, solistów i wielką orkiestrę.

50 tys. dolarów odszkodowania przyznał Sąd Najwyższy w Nowym Jorku amerykańskiemu pisarzowi Meyer Lewinowi od producenta filmu „Pamiętnik Anny Frank” i od ojca Anny Frank, która w czasie wojny zginęła w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Meyer Lewin udowodnił przed sądem, że producent wykorzystywał napisaną przez niego inscenizację „Pamiętnika Anny Frank”, którą swego czasu odrzucił pod pretekstem, że jest „zbyt żydowska”.

Papież Pius XII przyjął ostatnio na specjalnej audiencji 500 członków szlachty rzymskiej, w czasie której wzywał ich, „aby prowadzili nienagannie i proste życie”.

Włoska Narodowa Rada Badań Roku Geofizycznego planuje ekspedycję na Antarktydę. Wyprawa złożona z 14 uczestników pod kierownictwem majora Giorgio Costanza, profesora Silvio Zavatti i inżyniera Grinaldo Orenego — wyruszy w maju br.

Jak donosi prasa francuska — m. in. prezydent USA Eisenhower otrzymuje z amerykańskiego Banku Ziemskiego sumę 2.009 dolarów za to, że... nie uprawia ziemi, należąc do jego fermy w Gettysburgu. W ten sposób farmerzy amerykańscy zapobiegają kryzysowi gospodarczemu, który groziłby z powodu nadprodukcji rolnej. (u)

Cura te ipsum...

Niejak „rgem” („Karuzela” w numerze 4 „Tygodnika Zachodniego”) udaje, że wie, że my nie wiemy kto napisał „Poemat dla dorosłych” i „Obronę Grenady”. Zaiste — nie wiemy, skądże znowu! Co to właściwie jest ten „Poemat” i jakaś tam „Obrona”? Takie to już z nas ciemniaki! (b)

Pierwsze spotkanie z gnieźnieńskim Teatrem im. Aleksandra Fredry zdarzyło mi się któregoś mokrą, rozchlapaną dnia styczniowego we Wrześni. Moment spotkania był zarazem przyjemny i przykry, przyjemny — bo Fredrowska komedia przyniosła rzeczywistość satysfakcję całej widowni, przykry — bo sala... Proszę wyobrazić sobie zapach nie wietrzonego lokalu, w którym poprzedniego dnia, na zabawie tanecznej, nie żałowano wszelkiego gatunku alkoholu; dodając do tego tygodniowe brudy, przejmujące zimno — a otrzymacie obraz warunków, w jakich gra młody zespół aktorski z Gniezna.

Właśnie wtedy, gdy trzęsąc się z zimna słuchałem Fredrowskiego wiersza („cała sala” siedziała w płaszcach i futrach) przyszedł mi pomysł

„Mąż i żona” Fredry „idzie” w objęciu pięćdziesiąt raz.

Zespół grający „Las” Ostrowskiego dopędzam w Inowrocławiu. Siedzę znowu na widowni (tym razem czyściej, prawdziwie teatralnej) i oglądam dobry, wyrównany spektakl. Od dyrektora teatru dowiedziałem się, że w sztuce tej gra dwóch młodych aktorów, tegorocznych absolwentów szkół teatralnych.

Bulanowa gra Tadeusz Gochna z łódzkiej PWST. Gra dobrze, miejscami znakomicie, zdradzając cechy rasowego aktora (np. w wyrazistej scenie na początku V aktu, kiedy to udziela wskazówek i fałsz Nieszczastliwcowi). Byłaby może nieciekawą ta pisanina, gdyby nie gniejący mnie ból głowy. Udałem się po pigułkę do kierowniczki grupy objazdowej, pani Masny. „Pomoc lekarską” otrzymuję natychmiast — przedstawiam się i pytam (coś przecież trzeba

Teatr w Gnieźnie jest zespołem ambitnym. Kompromisu naszych czasów nie wytyłmaczył sobie potrzebą grania sztuk bezwartościowych, obliczonych na tani, krótkotrwały efekt. Gnieźnieński repertuar lekki — to Fredro, Marivaux, Ostrowski — w planie Beaumarchais, Sebastian (współczesny pisarz rumuński). Obok tego Wyspiański (coś ku uwadze PTD!), Słowacki, Les-sing... Z tego programu na bieżący sezon zrealizowano dotąd trzy pierwsze pozycje, zrealizowano je na dobrym poziomie, w niełatwych warunkach — najlepiej.

To są ambicje i plany. A jednocześnie do gabinetu dyrektora przychodzi telegramy z terenu. „Odmawiamy dzierżawy sali ze względu na mecz bokserki”, „odmawiamy sali... ze względu na występ naszego pśmiskiego zespołu amatorskiego”, „odmawiamy... ze względu na zabawę karnawałową”.

Tak jest często. Zbyt często, jak na naszą kulturalną Wielkopolskę. Ale niekiedy dramatycznie pojawia się inny jeszcze problem. Po miastach powiatowych i wydzielonych blakają zespoły „Estrady” — zespoły teatralne, nie reprezentujące nic, poza interesami planowymi swego przedsiębiorstwa. Byłoby dobrze, gdyby ta „Estrada” dawała spektakle na poziomie teatru z Gniezna czy Kalisza i jeździła z nimi po osiedlach, małych miasteczkach i wsiach, to jest — gdyby postępowała zgodnie ze swoim przeznaczeniem. W rzeczywistości gra jednak w miastach, i to gra kiepsko, bardzo kiepsko...

Przeciętny widz, idąc po widzenie „Estrady” na przedstawienie „Lasu” czy komedii Marivaux, mówi do gnieźnian rozczarowanym głosem:

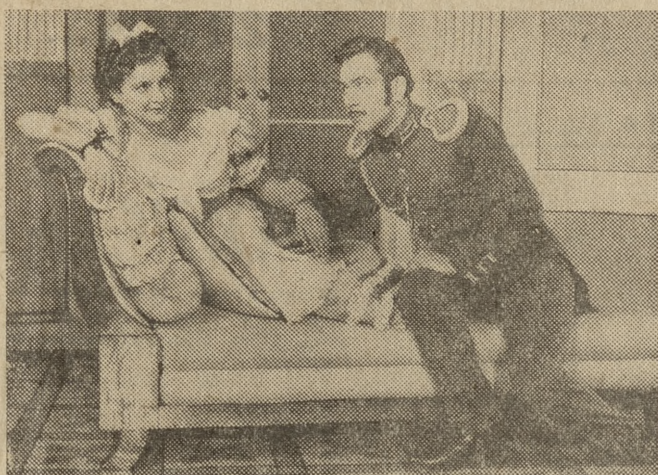
— A bo w waszym teatrze nie ma takich zagrań jak u nich...

Istotnie, nie ma takich zagrań... Ale, czy to dobrze, że ktoś takie zagrańia wozu po terenie? Sądzę, że Wydział Kultury WRN powinien zagłądać nie tylko do planu objazdu tych zespołów z bożej i „Estrady” łaski, ale również do samych przedstawień. W terenie, dorywczo i incognito — byłaby to wdzięczna i, co ważniejsze, nader owocna praca.

W styczniu gnieźnieńska Melpomena wędruje po kraju jednocześnie trzema zespołami. Dociera do miejscowości ośmiu województw — niemiennie serdecznie witana przez publiczność. Zasiadający w pierwszym, szóstym czy czternastym rzędzie widz nie rzadko nie wie, że za wdzięcznym przedstawieniem Fredrowskiej komedii kryje się gąszcz dużych, trudnych spraw i drobnych, codziennych kłopotów.

U nas w Polsce coraz bardziej szanuje się zawód naukowca, tokarza, inżyniera, kolejarza i poety. A aktora?... To ostatnie zapytanie dedykuję PRN we Wrześni i innym radom powiatowym, które dysponując często dobrą salą, każą zespołom teatralnym grywać w obskurnej, brudnej sali zabawowo-bokser-skiej.

Michał MISIORY



Aleksander Fredro: „Mąż i żona”. W roli Alfreda — Bohdan Gierszanin, w roli Justy — Halina Lubaczewska. Scenografia Zenobiusz Strzelecki, reżyseria Eug. Aniszczenko — wg inscenizacji Korzeniowskiego.

Fot.: Maksymowicz

napisania reportażu o pracy teatru objazdowego. Umocniła mnie w tym postanowieniu wizyta za kulisami wrzesińskiej sceny: wybite szyby, przeciąg, powierzchnia garderoby 2x2 m, aktorzy marzną i — grają...

Rozmawiam z młodym aktorem, Bohdanem Gierszaninem. Okazuje się, że scena we Wrześni to luksus w porównaniu z warunkami pracy w innych miejscowościach. Jednak niedostatki te rekompensuje publiczność: przyjmuje ona zespół serdecznie, nie rzadko entuzjastycznie.

mówić w takich przypadkach, czy mógłbym zamienić parę słów z panem Gochną.

— Proszę bardzo, ale wie pan, on też ma grupę. Wczoraj grał mając 39 stopni gorączki, dostał dwa zastrzyki, dziś też grał z gorączką...

Po poznaniu młodego aktora mówię:

— Powinien pan iść do łóżka...

— Tak, a przedstawienie?...

W tej krótkiej odpowiedzi jest wszystko, czego spodziewałem się po tych spotkaniach z wędrującą Melpomeną. Umówienie zawodu i poczucie odpowiedzialności idzie w parze z rzadko ogladaną dążnością do podporządkowania siebie zespołowi, idei teatru. Pan Gochna grał (szkodząc swemu zdrowiu) — bo wiedział, że teatr nie dysponuje zastępstwami...

Na widowni pięćset osób nie miłośno o tym pójcia.

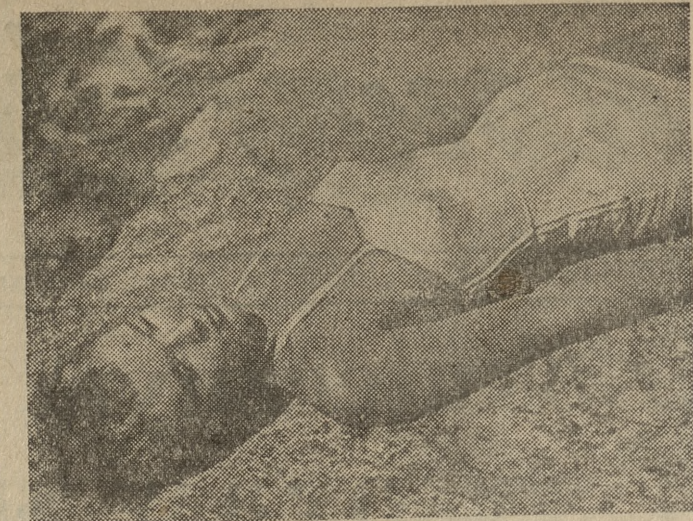
Wędrująca Melpomena — to masa najprzeróżniejszych problemów, trudności, sukcesów. Są miasta bez hoteli (śpi się wtedy w autobusie), są sale teatralne urągające swej nazwie, jest zimno, nierządno w małomiasteczkowych gospodach nie ma nic do zjedzenia (po godzinie 22)... Są też sprawy ważniejsze od wymienionych. Jedną z nich szczególnie boli pracowników teatru: niezdrowa atmosfera objazdu.

Tajemnica Peenemünde nadal nie rozwiązana?

W jednym z ostatnich numerów hamburskiej „Welt am Sonntag” (niedzielne wydanie dziennika „Die Welt”) znajdujemy pasjonującą relację Adalberta Baerwolfa i H. W. Pragua na temat niemieckiego centrum badawczego w Peenemünde.

Artykuł sugeruje, że już przed 1939 r. wywiad brytyjski podejrzewał, że w tajemniczym i niedostępnym dla jego agentów Peenemünde (niedaleko Szczecina) odbywały się militarne misteria rakietowe. Wydano rzekomo masę pieniędzy, idących w miliony, by zdobyć choć cień informacji, co się dzieje w tajemniczym ośrodku — lecz wszystko bez skutku. Dopiero po wybuchu wojny — oficer brytyjskiego wywiadu, Sanders, otrzymał nie oczekiwaną depeszę, szyfrowaną z Norwegii. Brzmiała ona: „Przez specjalnego kuriera przesyłam ważne dane o Peenemünde, MA 2, Oslo”. Jak się okazało, dane pochodziły

od nie znanego i do dziś nie ujawnionego (tak twierdzą autorzy artykułu) niemieckiego uczonego, który był zatrudniony w ośrodku rakietowym i — jak czytamy w hamburskim piśmie — także w ośrodku badań nad radarem oraz innymi wynalazkami typu wojskowego. Naukowiec ten rzekomo bezinteresownie przekazał ogromną ilość ściśle tajnego materiału informacyjnego, dotyczącego wynalazków o znaczeniu strategicznym; był on prawdopodobnie ich współautorem. Dokument ten, zwany w centrali wywiadu brytyjskiego „raportem z Oslo” (po niem.: „Oslo-Bericht”), zawierał, oprócz danych o V-1 i V-2, także zasady konstrukcji radarowego celownika (bombowca). Wynikałoby z tych relacji, że Niemcy przegrali wojnę właściwie, dzięki zdradzie jednego profesora, który z nienawiścią do hitlerizmu — ujawnił tajemnice wojenne, wysyłając pod adresem kontradmirała H. Boyesa, zastępcy attaché morskiego W. Brytanii w Oslo, zwykły list. Po pro-



„Witaj smutku” Fr. Sagan została niedawno zekranizowana. Na razie prezentujemy fotos z tego filmu, który reżyserował Otto Preminger. Rolę Cecille (na zdjęciu) gra znakomita aktorka amerykańska — Jean Seberg (wstawiała się ostatnio doskonałą rolą filmową Joanny d'Arc).

Fot. CAF

Z kart przeszłości Wielkopolski

Nieudane zabiegi kanclerza Bismarcka

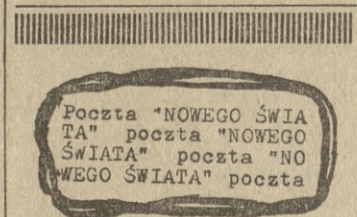
Rozpętany w latach 80-tych XIX wieku przez „żelaznego kanclerza” Bismarcka „Kulturkampf” na ziemiach polskich nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Przeciwnie — zakończył się klęską polityki Bismarcka. Zwywół polski pod zaborem pruskim wyszedł ze zmagania jeszcze bardziej wzmocony i nieugięty. Wbrew oczekiwaniom Bismarcka — polskość nie tylko nie cofała się, ale często nawet wypierała w tym okresie element niemiecki z zajętych już przez niego pozycji.

Niemców zaczął niepokoić fakt niezwykle łatwego polonizowania się całych grup kolonistów niemieckich, osiadłych na Ziemi Poznańskiej, czemu wyraz dał Bismarck, stwierdzając groźne dla niemieckiego zjawisko i żądając od ministra spraw wewnętrznych Rzeszy Eulenburga (1872) jak najszybszego i bezwzględniego przeciwdziałania się działalności Polaków „podkopujących fundamenty państwa pruskiego” (Prosperierende polnische Unterwühlung der Fundamente des preussischen Staates).

Proces polonizacji objął przede wszystkim wsie „niemieckie” pod Poznaniem, później włączone do Poznania: Jeżyce, Winiary, Wilde, Debiec, Luboń oraz inne ośrodki kolonistów niemieckich w pow. wolsztyskim, leszczyńskim i pod Opalenicą.

Sytuacja musiała być dla Niemców naprawdę alarmująca, jeśli pod koniec XIX wieku generał-porucznik von Bogusławski(!) w taki sposób przedstawiał w swoich wspomnieniach sytuację niemieczną na naszych ziemiach:

„W roku 1835 przybyłem po raz pierwszy do Poznańskiego; osiadł tam na wsiach (pod Poznaniem) chłopci (koloniści niemieccy — M. U.) mówili wtedy wyłącznie po niemiecku. Posługiwali się oni zarówno dobrym dialektem górnoniemieckim jak również południowym swych ojców. Przeniesiony z Poznania w roku 1860, powróciłem tam znowu w roku 1866 po raz drugi. Wtedy jeszcze mogłem stwierdzić, że prawie wszyscy starzy mówili po niemiecku, ale młodzież posługiwała się już stosunkowo często językiem polskim. Na skutek wybuchu wojny (prusko-francuskiej — M. U.) opuściłem znowu Poznań w roku 1870 i powróciłem w roku 1873, aby pozostać tu do roku 1886. Ku mojemu zdziwieniu prawie wszyscy na moje pytania odpowiadali w tych wsiach po polsku. Językiem niemieckim posługiwali się jedynie jeszcze najstarsi ludzie. Obecnie w końcu XIX wieku polonizacja tych wsi jest faktem dokonanym. Żaden człowiek nie mówi po niemiecku. Polonizacja tychże została dokonana pod bramami stolicy Poznańskiego i twierdzy poznańskiej na oczach najwyższych urzędników państwowych i władz szkolnych przez kościół i szkołę. Liczbę spolonizowanych Niemców katolików w ciągu 50-lecia na terenie Poznańskiego oblicza się bardzo nisko na 200 tys. ludzi” — kończy smętnie autor.



Inż. Romuald Stypulkowski — Poznań. W poruszonej przez Pana sprawie, uprzejmie prosimy o skontaktowanie się z redakcją telefonicznie (611-21, wewn. 66) — bądź osobiście (w godz. od 12—15).

Dr Jan Ujda, Poznań. Dziękujemy za nadesłany materiał. Wykorzystamy go na łamach „Nowego Świata” w lutym br.

M. Kozłowski, Czerwonak. — Może spróbuje Pan porozumieć się z wydawnictwem muzycznym albo z Rozgłośnią Poznańską?

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali nam swe uwagi w związku z ankietą „Oceniamy Nowy Świat” — serdecznie dziękujemy. Wyniki ankiety opublikujemy za tydzień. Jednocześnie przypominamy, że dalsze odpowiedzi na ankietę można nadsyłać do dnia 28 lutego br. pod adresem: „Nowy Świat”, Poznań, ul. Grunwaldzka 13. Wśród uczestników ankiety rozlosujemy nowe, wartościowe książki.

Trudno orzec, czy v. B. przesadził podając liczbę spolonizowanych Niemców podpoznańskich i w innych częściach Poznańskiego na 200 tysięcy ludzi. Jest jednak bezspornym faktem, że skutki wpływu prężnego środowiska polskiego w Wielkopolsce musiały być poważne, jeśli tak niepokoiły Niemców. Toteż Bismarck kuł wciąż nową broń przeciw Polakom z zaboru pruskiego. Wzmocnienie fali antypolskiej zapowiedział cesarz Wilhelm I w swej mowie tronowej wypowiedzianej dnia 14 stycznia 1886 roku z okazji otwarcia Landtagu pruskiego:

„Wyparcie przez Polaków elementu niemieckiego w niektórych prowincjach wschodnich nakłada na rząd obowiązek zastosowania środków, które zabezpieczą stan obecny i rozwój ludności niemieckiej.”

W tym kierunku szły coraz gwałtowniej wszelkie wysiłki Bismarcka i jego następców. Niemcom nie udało się załamać ducha narodowego Wielkopolan. I stąd zapewne żyje wśród nas wielu ludzi o niemieckim brzmieniu nazwiska, którzy niejednokrotnie dowiedli, że są prawdziwymi Polakami.

M. URBANOWICZ

OKOLICE POEZJI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Nie wiem, może i istotnym i godnym nader, ale nie rozumiem dlaczego szukać piątych stron i piątych wymiarów (jakież one, co zasz i po co?) skoro w naszych czterech wymiarach (stronach) — podejrzewam wulgaryzm — jest jeszcze zbyt wiele miejsc nie odkrytych? No, to szukajcie „poetyści”, mistyfikatory wyobraźni i wyobrażeń, tego swojego piątego zakątka. Dla innych istotnymi pozostaną mimo wszystko te prawdy i nieprawdy, które stanowią źródło niepokoju „im współczesnych”.

„Poetyści” są doskonali w swoim wyczuciu granicy między metafizyką a merkantylizmem. „Poetyści” wiedzą wszystko — jako uczestnicy abstrakcji. „Poetyści” za najwyższą rację uważają (coż za związek z materializmem) ilość. Stąd szukają ich utworów i w „Trybunie Literackiej” i w „Kierunkach”. „Współczesności” i w „Tygodniku Powszechnym”.

Ponoć Polacy mają kompleks poetów. Myślę, że to nie tak. Byle szuler i pruwaciarz ma wszakże więcej poważania niż ukladający wiersze. Należałoby więc to twierdzenie uściślić. Otóż, lubi się poetów, którzy: a) posiadają dużo pieniędzy b) są męczennikami, c) mają skłonności do mówienia prawdy, d) wierzą. Jest tak dlatego, żeby każdy mógł przeprowadzić wygodną dla siebie selekcję.

Zle to wszystko jednak o nas świadczy, szczególnie o tak zwanej kulturze percepcji. Są bowiem narody wyżej postawione — mają kompleks poezji. My go jeszcze nie mamy, dlatego częściej w rozmowach o poezji używamy nazwisk autorów niż tytułów dzieł, jakie napisali...

W Rosji — jak mawiają — każdy ślusarz potrafi wyrecytować z pamięci kilka wierszy. W Polsce też się to robi, ale tylko wtedy, kiedy się za to otrzymuje stopnie. Oczywiście, w takich kontekstach hasło „Poezja chlebem powszednim” musiałoby wywołać grymas (który zresztą doskonale po niektórych charakterizował). A tu chodziło po prostu o to — mówiąc tak zwany prostym językiem — żebyśmy wyzwolili się z kompleksu poetów i zaczęli mieć kompleks poezji. Co za różnica!

Norwid kiedyś napisał: „Do najpociesniejszego rodzaju literatury bez wątpienia policzyć można tak nazwaną krytykę sztuki, wszędzie prawie, a w szczególności u nas. Wiadomo bowiem, iż ta nigdy bezpośrednio dla sztuki nie uczyniła nic dobrego, ale tylko pośrednio przez publiczność, przez pokierowanie jej dążeń. Nigdy mówię, co znaczący od poczęcia sztuki aż do dziś. Żeby zaś pokierować, ubogoslavić, lub uświecić społeczeństwa (Dokończenie na str. 3)

Pewnego dnia najbardziej wyczerpany członek wyprawy — Oates wyszedł z namiotu mówiąc: „Pójdę się przejść. Możliwe, że nieprędko wrócę”. Nie wrócił, pragnąc ułatwić dalszą drogę innym. To poświęcenie nie uratowało jednak pozostałych. 20 marca w pobliżu składu żyw-

Po dziś dzień na Wielkiej Barierze Rossa stoi namiot z niełkniętymi zwłokami Scotta. Obok na krzyżu, który wzniesiono dla uczczenia pamięci zaginionego Oatesa, umieszczono napis: „Tutaj gdzieś zginął pewien bardzo dzielny dzentelmen”.

Wszystkie tego rodzaju poważne przedsięwzięcia nie mają więc wyłączonego charakteru jakichś „gigantycznych zawodów”, już choćby z tego względu, że jednym z istotnych czynników takich wypraw są odkrycia i doświadczenia poprzedników, często tych, którym nie udało się dotrzeć do celu. Przygotowanie swojej wyprawy Amundsen oparł w dużej mierze na doświadczeniach Shackletona i literaturze dotyczącej Bariery Lodowej Rossa, a na przykład taktyka zdobycia Mount Everest przez wyprawę Johna Hounta (jednym z jej członków był właśnie Ed. Hillary) nie była obca i

Po raz pierwszy usiłował zdobyć Biegun Południowy Robert Scott (późniejszy jego zdobywca) na początku XX wieku, dotarł jednak tylko do 87° 17' szer. geogr. pd. Próbę tę ponowił w 1908 roku E. Shackleton. Osiągnął on 88° 23' szer. geogr. pd.

Dr Fuchs (z lewej) omawia plan wyprawy z Edmundem Hillarym. Mieli się spotkać na Biegunie. Los jednak chciał inaczej — Hillary dotarł tam już 3 stycznia...

Józef TUŁASIEWICZ

☆

Mamy w Polsce kilku bar-
dzo wybitnych poetów. Rów-
nocześnie mówimy o kry-
zysie we współczesnej
polskiej poezji. Cóż, są re-
fery, gdzie racjonalizm nie
sięga. Jakże szczęście, że to
twierdzenie dotyczy kryty-
ków — malkontentów. Gdy
by tak było w poezji samej
— wtedy rzeczywistość mo-
glibyśmy mówić o kryzysie.
Mniemam jednak, że jest
wprost przeciwnie. Niech
tedy krytyka sama siebie
trochę pocenia. Rzecz bę-
dę śledził z największą u-
wagą i uznaniem. Głównie
w Poznaniu.

Marian GRZEŚCZAK

Zdaniem wybitnego fizjologa radzieckiego, Pawłowa, który swą teorię snu oparł na drobnozągrywych doświadczeniach laboratoryjnych przeprowadzanych na zwierzętach oraz na bogatych obserwacjach ludzi w warunkach normalnych i klinicznych, sen jest wynikiem zahamowania czynności komórek mózgowych przy działaniach szczególnych okoliczności.

Według Pawłowa proces ha
mowania broni wyczerpan

Wszyscy specjaliści zgodni są, że najlepszym sposobem na twardy i pokrzepiający sen jest umiejętność odprężenia umysłowego, zapomnienia przed snem o tym wszystkim, co zaprzęta głowę. Na przykład: partyjka brydża, rozmowa na tematy rodzinne (nie zawsze!), odpoczynek w wygodnym fotelu lub wreszcie kąpiel 10–15 minutowa w wodzie o temperaturze od 36o do 40o C.

15.XII.1911 R. AMUNDSEN
18.I.1912 R. SCOTT
3.I.1958 E. HILLARY
19.I.1958 E. V. FUCHS

Shackleton
South Ice
E.V. FUCHS REGION
Baza
Scott
Ross Sea

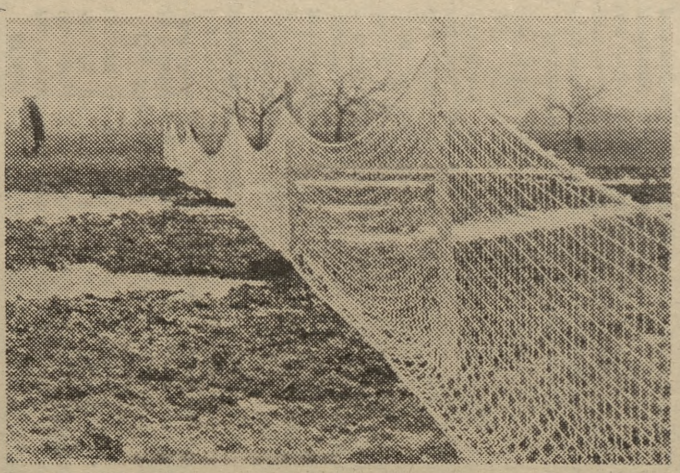
0° 40° 60°
80° 100° 120° 140° 160° 180°

300 MILE

SIEDZIAŁEM SOBIE
POD MIEDZĄ...



Mieszkaliśmy w zaciszu gęsto porośniętych pól, łąk i zagajników, w miejscu zwanym przez ludzi Borowem koło Czempina. Żyło nam się dobrze i szczęśliwie, pożywienia było w bród, bo dobrzy ludzie kładli nam zimną owies na pożywienie.



Pewnego słonecznego poranka — obudził nas głuchy łoskot. Przerażony przytuliłem się jak tylko mogłem do brunatnej ziemi, nie wiedząc, co z sobą począć. Po krótkiej chwili przybiegli przerażeni ojciec. „Jesteśmy otoczeni gęstą siatką, przy której kręci się wielu ludzi — wyrzucił z siebie jednym tchem. — Za mną!”. Spojrzałem, że rwał się wprost na ludzi; nie było już jednak innego wyjścia. Udało nam się jednak przemknąć szczęśliwie przez groźny łańcuch. Pędziliśmy teraz w stronę otwartego pola, gdy nagle zauważyłem, że ojciec wywinął koźlą. Nagłym suszem skręciłem w bok i w tej samej chwili poczułem, że coś tajemniczego krępije mi ruchy... Jednocześnie zza stojącej na polu drewnianej skrzynki podniosła się ludzka postać i zaczęła zbliżać się do mnie. Po chwili znalazłem się w ciasnej drewnianej klatce. Niedobrze!

„Tylko spokój może nas uratować!” — powiedział jakiś starszy zając. Ochłonąłem trochę z przerażenia i czujnie nastawiłem słuch. Obok klatki stało kilka ludzkich istot rozmawiając głośno.

O ile dobrze pamiętam, mężczyzna, którego zwano w skomplikowanym ludzkim języku „kierownikiem Ośrodka Hodowlano-Doswiadczalnego Czempin” nazywał się „panie Raczkowski”. Nie wiem, dlaczego był taki dumny, gdy ktoś powiedział, że jego ośrodek jest najlepszy w Polsce. Dla nas nie bardzo. Nie wiem również, co za dziwne ruchy wykonywali dwaj stojący obok niego mężczyźni. Jeden poruszał po białej kartce papieru cienkim patyczkiem, a drugi pstrykał jakimś strasznym przyrządem, który przykładał co chwilę do oka. Obaj dopytywali się natarczywie, co się ze mną stanie, dzięki czemu mogłem to i owo podsłuchiwać.

Okazało się, że złapano nas (około 100!) po to, aby przewieźć na tereny, gdzie jest mało



naszych krewnych. Dziwna nazwa naszego nowego mieszkania brzmi: Koszalin. Jak wynioskowałem z rozmowy, schwytano nas tej zimy około 1.330. Ktoś dodał, że trzeba jeszcze schwycić prawie drugie tyle, bo ubiegłej zimy wysłano do jakiegoś Lublina, Gdańska, Kielc i Szczecina 1340 zajęcy. W przyszłości mamy jechać chyba jeszcze dalej, po-



nieważ miejscowość tę nazywano „eksportem”. Wymieniano również jakieś dziwne nazwiska najlepszych łapaczy: Zenona Grzelczyka i Ignacego Nawrota z Borówki Nowego, braci Antoniego i Stanisława Gryców ze Spitkówek i innych, których nazwisk już nie zapamiętywałem, bo nie jestem mściwy z natury.

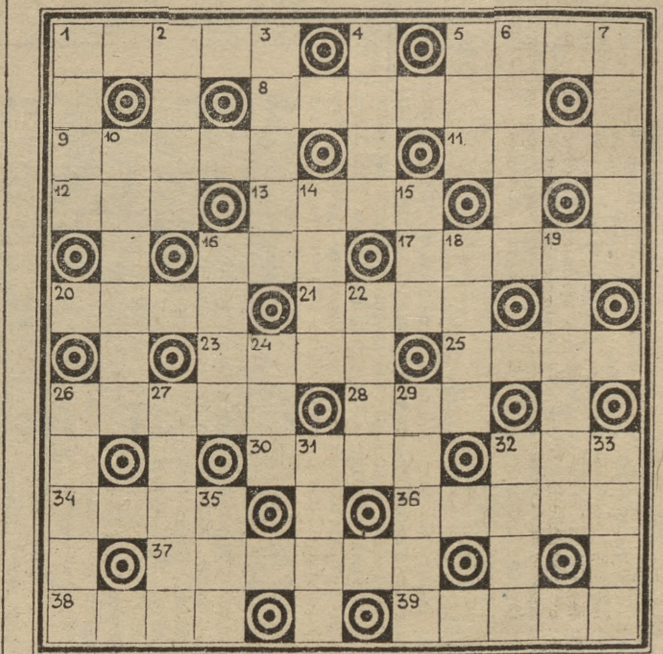
Serce zabiło mi mocniej, gdy usłyszałem, że 10 zajęcy zostanie wypuszczonych na wolność, ponieważ ludzie chcą się przekonać, czy pozostaną one w swych stronach ojczystych. I oto los uśmiechnął się do mnie: Czyjeś ręce wyciągnęły mnie z klatki. Kierownik wbił mi w ucho srebrny znaczek z numerkiem. Beknąłem przeraźliwie (z bólu i na wszelki wypadek) i — o dziwo! — po chwili byłem już wolny. Co siłą w skokach pomknąłem w otwarte pole. Oczywiście — kolezki wzbudzały w naszej rodzinie szaloną sensację. Chodzę dumny jak paw (to taki ptak z ogonem).

Odpoczywając wieczorem w głębokiej polnej brudzie, przypomniałem sobie, jak nazwano dwóch tajemniczych ludzi: jednego — redaktorem, drugiego jeszcze gorzej — fotoreporterem. A ich całkiem już nie zajęcze nazwiska brzmiały:

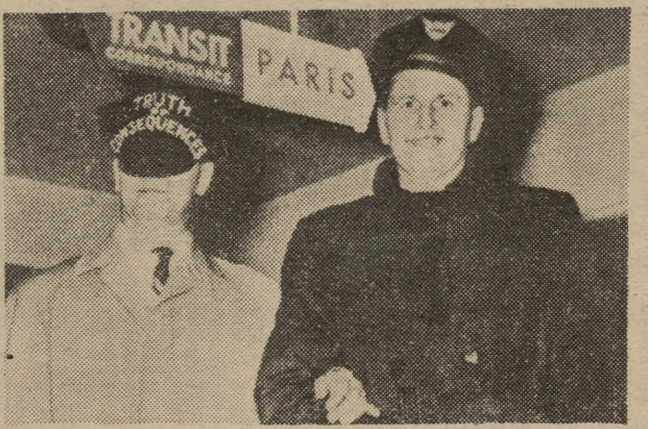
Marian VOGEL
i Kazimierz PRZYCHODZKI

KRZYŻÓWKA

Redaguje: L. RUDKOWSKI
Poziomo: 1 — dorodny koń, 5 — wynik wrzenia cieczy, 8 — wziernik w mikroskopie, 9 — dawna machina obciążająca, 11 — korab, arka, 12 — imię Cyganki, 13 — mocny napój spirytusowy, 16 — dopływ Wołgi, 17 — podgórska kraina w Czechosłowacji, 20 — sterta, 21 — plecionka ze słomy, 23 — mieszkaniec Mniejszej Azji, 25 — sądowy strój, 26 — dodatnia elektroda, 28 — okres czasu, 30 — los, przeznaczenie, 32 — papuga, 34 — torba do akt, 36 — narzędzie zmysłu, 37 — ogrodowy budynek, 38 — imię żeńskie, 39 — pomost ładunkowy.
Pionowo: 1 — dawny szwadron,



P · I · G · U · Ł · K · I
Prawdziwy gentleman, mając nóż na gardle — prosi o widelec.
+
Fortuna kołem się toczy! Dla niektórych — kulą u nogi.
+
Wdychając miazmaty Zachodu — odwróć się przynajmniej!
+
Każdy ma prawo do
szczęścia — ale nie każdy szczęście do prawa.
+
Sztandar czy ineksprymable — to dla moia wszystko jedno...
+
Żyjemy w takich czasach, że często nawet na swoje „ja” nie można sobie pozwolić...
WL. SCISŁOWSKI



Amerikanin John W. Guth wygrał nagrodę w Telewizji, polegającą na tym, że zwycięzcy umożliwiono podróż dookoła świata, ale z zawiązanymi oczami. Fot.: CAP.

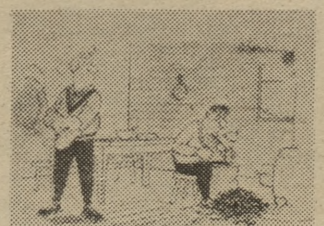
2 — duch, przywidzenie, 3 — turecki gmach rządowy, 4 — bryła geometryczna, 5 — grecki bożek lasów, 6 — wóz kirgiski, 7 — imię żeńskie, 10 — sól kwasu azotowego, 14 — oprawa, 15 — zwierzę domowe, 18 — zawieszina w cieczy, 18 — część długu, 19 — tulaćka w gwarze uczniowskiej, 22 — miał ziego brata, 24 — pierwiastek promieniotwórczy, 26 — dychawica, 27 — cyklon, tropikalna burza, 29 — wynalazek XX wieku, 31 — złotobiał mineral, kamień ozdobny, 32 — część pierwiastka, 33 — miasto w Palestynie, 35 — mała Alina.
Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem: Poznań — red. „Nowego Świata” — najpóźniej do dnia 29 bm. Autorzy bezbłędnych rozwiązań otrzymają nagrody książkowe drogą losowania.

Żyjemy za krótko
Belgijski lekarz — dr Jules François, oświadczył ostatnio w czasie wykładu w Rio de Janeiro, że człowiek powinien żyć 140 lat. Jeśli umiera wcześniej, oznacza to, że jego życiu biologicznemu przeszkodziły jakieś przyczyny zewnętrzne. „Człowiek ma wystarczającą siłę, by przeżyć dwukrotnie tyle lat, ile żyją dzisiaj przeciętnie ludzie”.

Upór na upór
Do szpitala w Chipinga (Rodezja) przywieziono 22-letniego Murzyna, który sam zameldował władzom, że popełnił samobójstwo i chciałby dokonać reszty swych godzin na łóżku. Lekarz, wbrew życzeniu samobójcy, przeprowadził operację, wyjmując kleszczowy nóż z siedmiocentymetrowym ostrzem, który Murzyn wbił sobie w pierś, aż do uchwytu. Gdy już pacjent był nieco zdrowszy, zdobył ukradkiem wielki nóż do chleba i wbił go sobie — tym razem na 16



— Siostrzynie, niech siostra przysięga!



— Nie widziałeś przypadkiem moich nart?



— Nie rozumiem, z czego pan się śmieje w takiej sytuacji...
— Kiedy ryby mnie laskoczą!...
„Sie und Er”

Linoskoczek
Raz skacze w lewo, raz skacze w prawo, a impresario bije wciąż brawo!
Rozpacz
Chętnie bym zdobywał szczyty, ale nie ma — niezdobytych!
LECH KONOPINSKI

cm głęboko. Dr Richard Carshalton powtórnie go wyleczył. Wreszcie, ostatecznie uzdrowiony pacjent, oświadczył swemu „przeciwnikowi”, że ustępuje — „zdumiony umiejętnością białego lekarza”.



Syrenki
Robotnicy portu Rio de Janeiro, przychodząc do pracy, bardzo się zdumiali, widząc na pokładzie szwedzkiego statku „Ragunda” czternaście nagich kobiet, które tań-



Na „po nartach” modne są obecnie stroje bardziej kobiece: kolorowe, wzorzyste spódnice, na które, niestety, w naszych sklepach nie ma odpowiednich materiałów.



GORZUCHOWO, pow. Gniezno

„Sąd niniejszy wielki kryminalny z miasta Kiszkowa sprowadzony przez JM-ci Panów Szeliskich na grunt wsi Gorzuchowa, zagajony przez sławetnych Panów Jana Orbińskiego, wójta, Walentego Królewskiego, Antoniego Jaroszkiewicza, Jana Czośnakowicza, jako Panów Radnych, przełożywszy, wysłuchawszy skargi niżej wyrażonych Instygnatorów, jako to pracowitego Macieja, parobka, przeciwko Reginie Kusiównie, pracowitego Walentego przeciwko Katarzynie Owczarzance, szlachetnie

czyli w promieniach wschodzącego słońca. Jak się okazało, były to „narzeczone młynarskie”, które, po spędzonej nocy w kajutach załogi — zabawiły się na pokładzie statku, w taniec syren. Tak w każdym razie oświadczyły policjantom, którzy je aresztowali i skazali na karę grzywny. (1)

Czy zrozumie?

Na giełdzie autografów w Paryżu — podpis budowniczego Kanału Sueskiego — Lesseps’a — osiągnął cenę 30 tys. franków, a autograf Brigitte Bardot... — 5 franków.

Piekielna kara

Roger Link, mieszkaniec miasta Iowa (USA), obrzucił miejscowego proboszcza brzośkwianami, gdyż nie podobało mu się jego kazanie. W wyniku rozprawy, sędzia skazał Linka na wysłuchanie 3 kazań i to w pierwszym rzędzie lawek. (mz)

urodzonego Imci Pann Jaranowskiego przeciwko Mariannie Owczarzce, pracowitego Jana przeciwko Szraminej, Pana Dudowicza przeciwko Małgorzacie Blachowej i innym czarownicom, do sądu niniejszego stawionym i obwinionym...“.

Tak rozpoczyna się akt oskarżenia z 30 września 1761 roku przeciwko tamtejszym kobietom. Za co? Ze trudniły się zabobanami, że sakramenta kradły, że masce robiły z proszków kobyliczych łbów, „zmijów”, węży i wilczej łapy, że „zadawały” ludziom i zwierzętom. Oto wyrok:

„...przerzeczone czarownice... na śmierć ognową skazuje i aby były na stosie na granicy przez Mistrzów spalone niniejszym sądem (tzn. wyrokiem — m.p.), ażeby z tego była złym poprawa, a dobrym przestroga...”

Dekret wymienia dwóch mistrzów i dwóch podmistrzów, którym w moc sąd oddał „zorochnik”.

Jakie były zasadnicze przyczyny tego sądu, nie wiadomo. Trochę światła rzuca fakt, że Bartłomiej, Jan, Tomasz Szeliscy — właściciele Gorzuchowa — skargę nieśli do Gniezna i do Pobiedzisk, tam ich odprawiono z kwitkiem. W ostateczności udali się do Kiszkowa, które także miało prawo miecza.

Podanie mówi, że wyrok wykonano pomiędzy Gorzuchowem a Wilkowiją. Jeszcze w r. 1838 można było oglądać ślady po tym ognisku katowskim. Pisze o tym monografia Klecka, wydana sto lat temu, z której czerpię tę wiadomość.

Przy tej okazji wyjaśnię tytuły. Szlachta w owe czasy tytułowała się „Jaśnie Wielmożny” (JW), „Jegomość” (JM), „szlachetnie urodzony”; mieszczenie zaś byli „sławetnymi”, a chłopci „robotnymi”. Mistrzem mianowano kasa, którym chełpiło się o porządniejsze miasto, Kat — wiadomo rzeźmieśnik — miał i czeladników i uczniów. (jp)